

# Waniliowe opium

Dariusz Muszer, „Wolność pachnie wanilią”, tłumaczenie Dariusz Muszer, Wydawnictwo Forma, Szczecin-Bezrzeczce 2008.



Podobno Montezuma miał poczęstować przybywającego z daleka (i na nieszczęście podobnego bogu) niejakiego Hernána Cortésa napojem czekoladowym z dodatkiem wanilii. Co stało się potem, jest sprawą wiadomą, wystarczy podsumować, że wizyta nie wyszła Montezumie na dobre. Z książką Dariusza Muszera jest w pewnym sensie podobnie, ufny czytelnik wpuszcza, docenionego bądź co bądź, autora do zacisza swojej duszy, a ten cóż tam wyprawia? Bałagani? To mało powiedziane, choć czytel-

nik wychodzi z tego spotkania cało.

Dariusz Muszer mieszka w Niemczech, w Hanowerze od 1988 roku, pisze w języku niemieckim i polskim, ważnym elementem w jego literackiej biografii jest poezja, której bodaj dwa tomiki opublikował jeszcze przed wyjazdem z Polski. Na marginesie parania się literaturą miał się różnych zajęć, dzielił pisarską wrażliwość z mało poetyckimi zawodami, jak taksówkarz czy oświetleniowiec. Zwracam na to uwagę, gdyż debiutancka, napisana po niemiecku powieść „Wolność pachnie wanilią” (nagrodzona zresztą przez Związek Pisarzy Niemieckich w 1999 roku) zdradza spojrzenie człowieka, który doświadczył różnorodności życia i jego niekiedy mało wyszukanej codzienności na własnej skórze, spojrzenie pełne ironii, realizmu, obecne tak mocno w niektórych wierszach autora. To ostre widzenie świata, bez owijania w bawełnę eufemizmów, szorstkie jak dłonie po fizycznej pracy, dalekie od upornej delikatności poetów, którzy za życia jeszcze chcieliby skamienieć na parniasie. Muszer jest energetyczny w swoim pisaniu, świetnie się czuje jak najdalej od eleganckiej stylistyki (choć znakomicie włada przecież i polskim, i niemieckim), pomnikowej koturnowości języka. Bohater jego powieści również nie jest postacią mającą z pomnikami cokolwiek wspólnego, chyba że chodziłoby o to, że w sytuacji podbramkowej zrobiliby pod jakimś pomnikiem siku. I pewnie by się z tym specjalnie nie krył.

Bohater powieści „Wolność pachnie wanilią” od początku wydaje się być znajomy, pierwsze skojarzenie prowadzi w stronę postaci Sowizdrzała, przekornego plebejusza rodem z niemieckiego folkloru i to nawiązanie widoczne jest też, jak sądzę, w strukturze samej powieści, w idei złożenia jej z kilkudziesięciu króciutkich rozdziałów, stanowiących zbiór przygód bohatera. Ten współczesny Sowizdrzał, przybywający z Gorzowa do Hanoweru w 1988 roku, jeszcze przed jesienią ludów, chce się prowokacyjnie zgermanizować, ucieka przed przeszłością, chce rozpocząć nowe życie. Niby nic w tym złego, ale żywi głęboką pogardę dla całego świata, nie wyłączając siebie samego. W poszukiwaniu wolności, która na hanowerskim dworcu zapachniała mu wanilią, w poszukiwaniu lepszej tożsamości, przybywa przy tym nie jako gość, lecz zdobywca, z „Robinsonem Crusoe” w plecaku. I jeszcze się odgraża: „Zatem, jeśli ktoś pragnie, aby jego państwo legło w gruzach, powinien natychmiast posłać po mnie. Przybędę (...), rozejrzę się trochę i zwyciężę. Rozpierzdołę mu to jego państwo tak samo, jak już raz rozpierzdołem Republikę Federalną Niemiec. (...) pewnego pięknego dnia zawitam być może do Szwajcarii. Albo do Austrii”.

Ten włóczęga, Polak, choć może bardziej Białorusin, a może Żyd, no i chyba trochę też Niemiec, i jeszcze wedle własnej wizji również istota pozaziemska, będąca tu na Ziemi jedynie przechodniem i to przypadkowym w tej części świata, nie zaskarbia sobie czytelnicznej sympatii. Historia jego peregrynacji ze słowiańskiego Wschodu i emigranckiego żywota na germańskim Zachodzie napisana jest wartko, ale i przeniknięta okrucieństwem, tak że wciąga, ale i irytuje. Niechęć do szkaradnego narratora odpycha w końcu od fabuły, a skłania do zajęcia się sprawami formy, elementami literackiej gry. Krytycy zwracają uwagę na konwencję powieści lotrzykowskiej, pozwalającą Muszerowi sięgać do plebejskiego języka, wyrażać wściekłość, łagodzoną rubasznymi żartami nie na miejscu. Rzecz opowiedziana jest więc niby realistycznie, lecz z zachowaniem dystansu, a do tego mamy tu dużą dozę fantastyki i groteski, pozwalającej autorowi okrutnie szydzić z różnych spraw, z własnych emigranckich przeżyć, z doświadczenia słowiańskiej, nieszczęsnej krainy, jej historycznego skomplikowania i nostalgicznej powagi: „Niech żyje życie, niech żyją umarli, niech żyją zagazowani!”.

„Wolność pachnie wanilią” jest demonstracją odrzucenia przeszłości, być może jest też zapisem swego rodzaju katharsis autora, zrywającego osobiste więzy i pęta. To zagranie na nosie świata, odrzucenie kultury, w której się wyrosło, a także tej gościnnej, wykpienie wszystkiego, co krępuje, norm języka i zachowania, konwencji i konwenansów. Jednak w powieści Muszera oprócz nihilistycznego, literackiego wierzenia i przewrotek w takt niepoprawnego humoru, które — powiedzmy otwarcie — sprawiają wiele frajdy, jest jeszcze miejsce na coś innego. Mianowicie na odkrywanie, że za pychą „słowiańskiego Robinsona Crusoe” kryje się niemal dziecięca bezsilność, a za beczelnym śmiechem — przerażenie świadomością schizofrenicznego (dosłownie) tożsamościowego rozdarcia, niemożnością ucieczki od przeszłości oraz siebie samego. Tego strachu odurzający zapach wanilii nie jest w stanie ukoić.

Marta Brzezińska